

Fatalny połów

"The New Electric Ballroom" - aut. Enda Walsh - reż. Katarzyna Deszcz - Teatr im. Wiliama Horzycy w Toruniu

Czy kiedykolwiek miałeś wrażenie, że jakieś złe wspomnienie prześladowało Cię niczym senna mara? Cokolwiek nie zrobiłeś, ono wracało i torturowało Cię obrazami i skojarzeniami? O podobną problematykę zahacza spektakl "The New Electric Ballroom", w której to bohaterki inscenizacji — Clara (Małgorzata Abramowicz) i Breda (Karina Krzywicka) przywołują wspomnienie pechowego zauroczenia.

40 lat temu na potańcówce w nadmorskim miasteczku nastoletnie wówczas kobiety zakochały się w tym samym mężczyźnie — wokaliście miejscowego bandu. Tytułowy "elektryczny parkiet" nawiązuje do tego, że wizja upojnej nocy z przystojnym młodzieńcem porażała i ekscytowała siostry. Niczym muzyka nadawała rytm biciu ich serc. Nie wiadomo, czy to taniec na wspólnej imprezie, czy perspektywa miłości rozpalala dziewczęta i przywoływała na ich twarzach rumieńce.

Obie zostały przez faceta upokorzone. Inicjacja seksualna i wkroczenie dziewcząt w dorosłość zakończyły się fiaskiem. Po tej sytuacji kobiety długo były na językach miejscowych. Jednakże mam wrażenie, że to nie plotki, a ich własny lęk przed wyruszeniem w świat zamknął je w domu.

Słowa Bredy - "I choć gadamy, szeroko otwieramy ramiona i mamy gorącą potrzebę bycia z ludźmi, tak naprawdę nigdy nie opuszczamy bezpiecznego łona, wiedząc, że to jest dla nas lepsze miejsce niż stworzony świat. Nie chcemy być sami. Ale jesteśmy." - dobrze odzwierciedlają spojrzenie na świat bohaterek.

Na tytułowym "elektrycznym parkiecie" Clara i Breda przeżyły swoje pierwsze i jak się okazuje ostatnie zauroczenie oraz złamanie serca. Przez kolejne lata nie dopuścili do siebie żadnego mężczyzny. Jedna klęska sprawiła, że zamknęły drzwi na cztery spusty. Zamknięte na innych ludzi pozostają też ich umysły. Główne bohaterki są oschłe i pełne urazy, momentami wręcz brutalne.

Zatruwają swoim podejściem do relacji życie najmłodszej z siostr Ady (Agnieszka Wawrzekiewicz). Zatwardziałe serca dyktują im sposób porozumiewania się ze sobą. Każą im także zamykać dom przed gośćmi z zewnątrz. Takim przybysem i całkowitym przeciwieństwem Bredy i Clary jest miejscowy dostawca ryb — Patsy (Paweł Kowalski). W jego osobowości mieszą się: wrażliwość artysty i serdeczna prostota robotnika, które to wymownie kontrastują z nieprzystępnością kobiet. Patsy próbuje się wślizgnąć w łaski gospodyń, przy okazji stawiając pytanie o sens istnienia. Jaki jest cel życia, jeśli nie miłość, choćby ta braterska?

Większą otwartość zdaje się mieć też Ada, która patrzy na świat głodnymi oczyma. Tymczasem Breda i Clara we wręcz przemocowy sposób narzucają siostrze swoją wizję świata i nie pozwalają jej nakreślić własnej historii. Zależna od nich Ada próbuje wyłamać się z tego schematu i nie powielać fatalnego wzorca, ale "przeznaczenie" powraca do niej niczym morski przyptyw. Podobnie do ryby, która złapana w rybacką sieć trzepocze płetwami i usiłuje jeszcze odpłynąć, w rezultacie nie rusza się z miejsca. Ada jest początkowo jeszcze nieskalana zgryzotą. Jednak i jej nie ominie frustracja i żal...

Trauma ciągnie się za tą rodziną jak przed laty rzucona kłątwa. Kobiety czują uporczywą potrzebę powtarzania zranienia. Dzieje się to przede wszystkim w ich głowach i to w niemal maniackim

stylu. Jednak też świat wokół siebie konstruują w taki sposób, że urealniają się ich lęki i czarne wizje.

Pomimo bogactwa znaczeniowego, spektakl zaskoczył mnie realizmem. Odbывał się na sali kameralnej, gdzie stoi kilka rzędów krzeseł i aktorzy są niemal na wyciągnięcie ręki. Widzowie byli niczym goście w domostwie sióstr, obserwujący ich perypetie. Słyszając kroki opatulonych w skarpety stóp odbijających się od drewnianej podłogi, czułam się prawie jak w domu. Na scenicznym stole stał pachnący wypiek. Nawet jeśli świeże ciasto i gorąca herbata były używane do siostrzanych potyczek, to wciąż przypominały one o tym, że w tym domu żyje rodzina.

Siłą sztuki były wyborne pod względem literackim i znaczeniowym dialogi. Jest to zasługa irlandzkiego dramaturga Enda Walsh i przekładu Klaudyny Rozhin. Spektakl nie potrzebował spektakularnej scenografii, czy gry światła by zapadł w pamięć. Skromne, choć wymowne były tylko dopełnieniem świetnego scenariusza.

Wyzwanie, by w tak okrojonej ze zwrotów akcji i scenografii inscenizacji, uprawdopodobnić historię postaci, leżało po stronie aktorów. Pawła Kowalskiego kojarzę z komediowego spektaklu "Ćwiczenia stylistyczne", a tu go wręcz nie poznałam! Nie tylko za sprawą charakteryzacji (zasługa garderobian Anny Krajewskiej i Agaty Zalewskiej oraz charakteryzatorki Ani Czapnik), ale przede wszystkim dzięki wyśmienitej grze oddającej osobiwość Patsy'ego. To samo tyczy się fantastycznej Kariny Krzywickiej, która bezbłędnie oddała zgorzkniałość Bredy.

"The New Electric Ballroom" odbieram jako jedno z lepszych przedstawień, na jakich byłam, aczkolwiek domyślam się, że nie każdemu przypadłby do gustu ze względu na tematykę. W spektaklu realizm miesza się z lirycznością, ale nie mamy tu światopoglądowych ideologii ani historycznego tła. Tylko dom i bliskich sobie ludzi.

A może aż?

Joanna Zwolińska

Dziennik Teatralny Bydgoszcz
4 listopada 2024